

Ottawa, dnia 7 lipca 1997 r.

Fr Jan Sadowski, OMI
201 Lebreton Street N.
Ottawa, ON
CANADA K1R 7H9

Z Kanady po raz pierwszy

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!

Moim Korespondentom oczekującym ode mnie znaku życia donoszę, że jestem już po przeprowadzce i urlopie, a przy okazji informuję, że postanowiłem spoważnieć (najwyższy już czas ku temu), a więc nie będzie już kącika humoru znanego z moich listów pisanych we Francji. W jednej kopercie będą dwie kartki (ta sama opłata pocztowa), za to wysyłane rzadziej. Nie umiem pisać krótko i zwięźle. A jeśli przysłałście mi list, zdania osobistego szukajcie na samym końcu.

Wspominając Francję należy opisać pożegnalny obiad parafialny w dniu 20 kwietnia. Trwał pełnych 8 godzin. Parafianki przygotowały smaczne dania, a muzyka też była przyjemna i do polskiego tańca. Potem, w środę, 23 kwietnia, już o 5 rano, sześćdziesiątka parafian wsiadła do autokaru, aby zobaczyć miasto św. Teresy. W krypcie Bazyliki oglądaliśmy także interesującą wystawę zdjęć Całunu Turyńskiego. Wszystkich też wysłałem za Bazylikę, aby zobaczyli grób rodziców św. Teresy. W Karmelu uczestniczyliśmy we Mszy Świętej, obok zjedliśmy obfity obiad przygotowany przez inne siostry (oczywiście, zapłaciliśmy) i po zwiedzeniu domu rodzinnego Małej Świętej wyruszyliśmy do domu zatrzymując się przy muzeum Wikingów w ruinach zamku. Przeszliśmy też szczęśliwie przez więzienne piwnice i bez upadku z najwyższej wieży zamkowej. Przed kościół zajechaliśmy o 10-ej wieczorem. Wycieczka-pielgrzymka była nagrodą dla dzieci za tegoroczne jasełka. Ciekawe było wielkie zainteresowanie dzieci video filmem-medytacją o Matce Bożej. Przygotowałem też komedię, ale dzieci wolały grać w karty. Śpiewały dużo, co sprawiło mi wiele radości.

Pożegnanie nastąpiło w niedzielę, dnia 27 kwietnia. Po oficjalnym pożegnaniu podczas Mszy Świętej przeszliśmy na „wino honorowe” na sali, gdzie przemówiło dwóch Merów (kościół stoi na granicy dwóch miast-osiedli górniczych). Pierwszy dał mi zegar-talerz ozdobiony merostwem, drugi dał miedzioryt z czterema motywami miasta oraz medal za budowanie wspólnoty. Parafianin też dodał słowa pożegnania i dał kopertę, dodali niektórzy parafianie w kopertach lub bez kopert (dzięki temu nie pożyczalem pieniędzy na podróż do Kanady). Przemówiłem także ja. Starsi pili wino, dla dzieci (i dla siebie) przygotowałem soki, ale one wolały przyjemnie „hałasować” na scenie i wtedy dopiero zrozumiałem, dlaczego tyle śpiewały w aukotarze. A kiedy rozpoczęto ciągnięcie losów, ja udałem się na plebanię, aby pół godziny później samochodem najbardziej życzliwego parafianina (nie na darmo nazywa się Aniołem) opuściłem parafię, aby przez Brukselę dojechać do Polski.

Tę uwagę kieruję dla tych, którzy muszą pić. Składając podanie o wizę roczną zostałem przedstawiony panu merowi, który - zwyczajem francuskim - zaproponował mi aperitif, a że odrzucenie takiej propozycji byłoby niegrzeczne, więc z przyjemnością się zgodziłem. Na pytanie, co chciałbym wypić, odpowiedziałem, że coś bez alkoholu. „W moim barku takich napoi nie ma” - usłyszałem. Ale dzięki telefonowi coś przyniesiono. Od tej pory w barku służbowym pana mera są napoje bezalkoholowe, jeszcze kilka razy korzystałem.

Już dnia 30 kwietnia miałem wizę kanadyjską, a dwa dni później siedziałem na fotelu dentystrycznym (półtorej godziny, 4 plomby). Potem już mogłem urlopować. Jak zwykle, odwiedzałem znajomych, uczestnicząc w różnych imprezach rodzinnym i oficjalnych, w różnych dzielnicach Polski. Miałem też okazję w mojej parafii przeżyć misje i nawiedzenie wędrującego obrazu Bożego Miłosierdzia. Przy tej okazji pobiłem „rekord życiowy” siedząc w konfesjonale bez wychodzenia przez pięć i pół godziny (kiedyś z okazji odpustu w miejscu pielgrzymkowym pod drzewem na krześle

przesiedziałem cztery i pół godziny). Dwukrotnie „nabałaganilem” w pociągu rozrabiając z dziećmi, przybyły mi więc dwa adresy. Niektóre z takich dawnych spotkań przetrwały już ponad 20 lat. Spotkane dzieci jechały na wycieczkę, umiały się bawić, były wesołe, ale grzeczne, więc warte były, aby je „zaczepić”. Przed pożegnaniem poprosiłem, aby zgadły mój zawód. W tych dwóch wypadkach odpowiedzi dzieci były identyczne: nauczyciel?... klown?... to nie wiemy.

Przed samym wyjazdem z Francji miałem spotkanie z chłopcem, który ma trzy adresy. Trudno zapomnieć jego kłopoty, a przecież takich dzieci w „postępowym” społeczeństwie jest dużo. Rodzice przeprowadzili sprawę rozwodową (o to wygadany nie jest trudno, a niewygadanych zastąpi adwokat). Problemem jest zawsze dziecko. Nieraz przeszkadza (przed 25 laty 12-letni chłopak powiesił się nie chcąc „stać na drodze waszego szczęścia”, jak napisał na kartce), jednakże częściej ojciec i matka domagają się poszanowania swoich praw rodzicielskich. W tym wypadku rodzice zachowali pełne prawa rodzicielskie, wskutek czego chłopak był przez miesiąc u matki, następny miesiąc u ojca. Sprawiedliwie. On sam prosił, aby listy do niego wysyłać na adres jego babci, jedynej osoby godnej zaufania. Gdzie on ma dom? Czy ta tak zwana miłość nie jest egoizmem? Gdyby takim rodzicom naprawdę zależało na szczęściu dziecka, zrobiliby wszystko (wspólnie), aby ich dziecko miało prawdziwy dom, aby ich dziecko miało i ojca, i matkę jednocześnie. Nauka Pana Jezusa o nierozzerwalności małżeństwa chroni szczęście dziecka (i rodziców, którzy też budują sobie stały dom). A że czasem to wymaga ofiar? Kto naprawdę miłuje...

Kilkanaście godzin przed opuszczeniem Calonne Ricouart zatrzymała przed plebanią swój samochód pewna pani, której przed rokiem udzielałem bardzo hucznego ślubu: dwa zespoły muzyczne, wydrukowane wszystkie teksty modlitw i śpiewów, kościół ozdobiony kwiatami aż do przesady. Ich przygotowanie do Sakramentu Małżeństwa było typowe dla Francuzów: kilka lat wspólnego pożycia, kilkuletnie dziecko. I po 8 miesiącach pani młoda chce się rozwieść z mężem. Nie chciałem rozpoczynać tej sprawy, spieszyłem się na Mszę Świętą, na drugi dzień już mnie nie było we Francji, ale chciałem ją zapytać, jakie miejsce ma Bóg w jej życiu? Tacy zwykle posługują się sloganem: „wy (starzy) nie rozumiecie młodych”, „mam prawo do życia”. Młodzi, też nie potrafią wytłumaczyć, co to znaczy. Dużo miejsca w liście zajęły mi nieszczęścia ludzi żyjących bez Boga w sercu, ale miałem także wiele przeżyć przyjemnych i radosnych związanych z tym Sakramentem.

Ostatni ślub we Francji, w przeddzień wyjazdu. Już miesiąc wcześniej młodzi uzgodnili ze mną termin spowiedzi całej ich rodziny. Chcieli, aby możliwie jak najwięcej gości przystąpiło godnie do Komunii Świętej razem z nimi. Inicjatywa rzadka nie tylko we Francji. Wesele przygotowywane przez rodziców było też bardzo huczne, ale zabawę potrafili przerwać na czas niedzielnej Mszy Świętej, po czym poszli bawić się dalej.

Czterokrotnie odwiedzałem gabinet dentystyczny w ostatnim tygodniu urlopu. Działo się wygoiło, więc mogłem poprosić o zęby, które pojawiają się jako ostatnie. Kłopoty rozpoczęły się później. Wciąż „coś” przeszkadza mi w mówieniu. Jeszcze nie odważyłem się mówić kazania mając pełne uzębienie. W dniu 7 czerwca udzielałem ślubu także w charakterze wampira, z wystającym samotnym zębem na przedzie. Mam nadzieję, że Zakochani Nowożeńcy zapatrzeni w siebie tego nie zauważyli. Przecież przy ołtarzu patrzą na siebie najpiękniejsza spośród trzech miliardów kobiet żyjących na ziemi i najlepszy spośród trzech miliardów mężczyzn. Być ładnym(-ą), to wprowadzać ład: w pracy, na głowie i w głowie, a także, czy przede wszystkim, w swoim sercu. A po ślubie Pan Młody stara się pozostać najlepszym, a Pani Młoda najpiękniejszą, co przy Bożej Pomocy się udaje, dlatego o tę pomoc modlą się uczestnicy Mszy Świętej. A Wy, Młodzi Czytelnicy, lubicie chodzić na śluby jako uczestnicy, czy jako widzowie? Po Mszy Świętej odwieziono mnie (50 km w jedną stronę) na dworzec autobusowy i w tamtejszym barze urządzono mi obiad weselny (wątróbka!!!) na rachunek młodych. Nie znam innego wypadku, aby Państwo Młodzi urządzili dwa wesela dla swoich gości.

Wieczorem tego dnia zapakowałem dwie walizki, w niedzielny poranek odprawiłem Mszę Świętą w kościele parafialnym, potem kolega z lat szkolnych podwiózł mnie na warszawskie lotnisko. Po nadaniu bagażu chciałem jeszcze wypić kawę i przy tej okazji zauważyłem, że klucze od małych kłódek zostawiłem w domu w portmonetce, razem z monetami polskimi i niepolskimi. Na szczęście, przy przyjmowaniu aparatura antyterrorystyczna nie wykryła nic podejrzanego (a był tam też duży metalowy krzyż oblacki). Otwierać walizek nie kazano. Przy ostatniej kontroli kazano mi wyjąć z kieszeni wszystkie przedmioty metalowe. Wyjąłem obcinacz do paznokci i brama bez szemrania mnie przepuściła. Zastanawiałem się, co zrobię w Kanadzie, gdyby chciano zobaczyć moje zakonne „ubóstwo” (miałem łącznie 43 kg, połowa wagi przypadła na książki). Na szczęście, w Kanadzie służby graniczne też nie były ciekawe zawartości moich dwóch walizek.

W powietrzu byliśmy ponad osiem godzin. Wystartowaliśmy o 12⁴⁵, wylądowaliśmy w Toronto zatrzymując się przy stanowisku 103 o 15-ej. Obok mnie siedzieli ukraińcy, rozmawialiśmy po francusku. I chyba niewielu pasażerów wypełniło formularze kontroli granicznej po francusku, skoro pani stewardesa bardzo się dziwiła. O 16-ej byłem po kontroli i pół godziny później odpowiedział mi po polsku ktoś chodzący z kartką z dużymi literami „OMP”. O 17-ej byłem na plebanii parafii świętego Kazimierza w Toronto. Kłódki przepiłowano natychmiast: łatwiej, niż czekać na list z kluczami.

Po konkretnych informacjach kazano mi robić to, co chcę, jeść, kiedy chcę (bez kontroli, w dowolnym czasie - tu tylko obiad jest wspólny, przygotowywany przez kucharkę) i wyjść, dokąd chcę. Zmęczenia nie czułem, więc ze znajomymi Oblatami rozmawiałem długo siedząc przed telewizorem o półtorametrowej (na oko, gdyż nie mierzyłem) przekątnej ekranu. W poniedziałek poszedłem na spacer. I spacerowałem nie mogąc znaleźć ławki. W parku dorośli razem z dziećmi bawią się zrzucając zbędne kalorie. Wstąpiłem do sklepu z butami pytając, czy tu mówi się po polsku - „przede wszystkim po polsku” - odpowiedziano mi. Niepotrzebnie martwiłem się o polskie książki. Są droższe, ale to zrozumiałe, transport lotniczy. We wtorek wieczorem podwieziono mnie do sąsiedniej polskiej parafii i tam dowiedziałem się o moim przeznaczeniu: parafia Świętego Jacka w Ottawie. W środę zwiedziłem wysokie centrum miasta, ale na wieżę nie wjechałem skąpiąc 18 dolarów.

Dnia 12 czerwca, w czwartek, wsiałem do samochodu mego proboszcza. Z Toronto do Ottawy jest 450 km. Cztero- i półgodzinna podróż była wielką przyjemnością. Dużo lasów, jezior i zwierzyny, także zabitej na drodze. Zająłem pokój gościnny w naprawdę małej plebanii (przed czterdziestu laty Polaków nie było tu dużo). Odbylem kilka spacerów po mieście, które w porównaniu z Toronto (ponad 2 miliony mieszkańców, z miastami połączonymi 5 milionów) wydaje się małe, niewiele ponad 300 tysięcy mieszkańców. Bardzo dużo parków, chociaż mało też ławek. Obejrzałem kilka kościołów. Byłem w kilku sklepach. Ciekawostką jest to, że pobierający pieniądze przy kasach nie siedzą, tylko stoją. Domy są dużo niższe, najwyżej 25-piętrowe. Podobno teraz nie wolno już budować wyżej, niż budynek (wieża) siedziby parlamentu. Poza samym centrum (25 minut ode mnie) Ottawa ma charakter osady jednorodzinnych willi wśród ogrodów bardziej ozdobnych, niż warzywnych, jest bardzo rozwlekła, z dobrymi ulicami, z autostradą przebiegającą przez środek miasta.

W poniedziałek, dnia 16 czerwca, znów byłem w Toronto, tym razem na pogrzebie 91-letniego Oblata, który - jak powiedziano w homilii podczas Mszy świętej - nie napisał żadnej książki, nie dokonał żadnego odkrycia, nic imponującego w życiu nie zrobił, ale zawsze spokojnie pracował, dopóki mógł. Tylko w drodze na cmentarz skomentowano jego życie w ten sposób, że „gdyby Pan Bóg jego nie zbawił, to nie mógłby zbawić nikogo”. Przy okazji poznałem cmentarz. Groby płaskie, tablica nie wystaje nad ziemię. Łatwo pielęgnować trawę przy pomocy traktora z kosiarką. Do grobu dojeżdża się samochodem wyasfaltowanymi alejkami cmentarza.

Po obiedzie przewieziono mnie do pięknego domku nad brzegiem małego jeziora. Tutaj się nudziłem. Padał deszcz i nie można było łowić ryb, ani popływać na łódce.

Zamiast w środę, do domu powróciliśmy we wtorek przejeżdżając przez ogromny park narodowy, potem Kaszuby (tam jedliśmy obiad) i Wilno. Przez dwa dni przejechałem 1100 km!

Następnej niedzieli, dnia 22 czerwca, odbył się piknik parafialny w gospodarstwie starszych ludzi. Nieco spóźniliśmy się, gdyż nie przewidzieliśmy tego, że trzeba przejechać aż 30 km. Ale bez nas nie mogli rozpocząć. Tutaj Polonia jest inna, niż we Francji. Dopiero po Mszy Świętej była przekąska (dla nas dwóch księży w mieszkaniu gospodarzy prawdziwy obiad). Dzieci deptały trawę goniąc za piłkami, starsi też grali w siatkówkę. Były wybory misek i misek małych (do 7 lat - pięknie recytowali polskie wiersze i śpiewali piosenki po polsku). Do wyboru dorosłej miski były trzy kandydatki i przynajmniej trzykrotnie większe grono sędziowskie, nie wspominając o półtysięcznej widowni. Kandydatki na miski się zgłaszały, zespół jurorów był z nominacji, przez zaskoczenie. Gospodarze także zostali ukoronowani wyłaczanymi (papierem) wieńcami z kwiatów. A w międzyczasie tańce. Postanowiono powtórzyć piknik we wrześniu. Ja nie zgłosiłem się po porcję tortu, więc przyniesiono mi ją do samochodu. O przebaczeniu nie ma mowy. O dobrej i religijnej atmosferze świadczy jeszcze inny fakt, że poranek tej niedzieli był bardzo pochmurny i wiele osób nie wierzyło, że piknik dojdzie do skutku. „Niedowiarkowie” uczestniczyli w przedpołudniowej Mszy Świętej w kościele.

W czasie pewnych odwiedzin pani domu opowiadała, że jej przyszły mąż odbywał służbę wojskową i w odległym 5 tys. km mieście wstąpił do baru i tam ją zobaczył. Była to więc miłość od pierwszego wejrzenia (a gdyby spojrzeli na siebie po raz drugi, to by się odkochali?) Są szczęśliwi. Przysłuchująca się temu wspomnieniu inna młoda mężatka zapytała niewinnie: „On, to zrozumiałe, ale coś ty tam robiła w barze”. Czy przykazania są takie same dla niewiast, jak i dla mężczyzn? To tak na marginesie. Ale ciekawe.

W dniu 25 czerwca przedstawiłem się ambasadorowi Madagaskaru na przyjęciu zorganizowanym w przeddzień Święta Odzyskania Niepodległości. Było tam wielu ambasadorów, przeważnie z Afryki. Ja rozmawiałem tylko z księdzem pomagającym misjonarzom na Madagaskarze oraz z dwoma rodzinami dobrze znającymi niektóre miejsca mojej pracy na Madagaskarze. Popełniłem dwa błędy. Po pierwsze, poszedłem w koszuli (z koloratką) i byłem jedynym bez marynarki (32°C w cieniu), a poza tym sala była klimatyzowana i marzłem. Nic dziwnego, wszyscy przyjechali samochodami klimatyzowanymi. Ja przyjechałem samochodem, ale powróciłem po malgasku, pieszo (40 minut). Po drugie, nie należy odpowiadać na zaproszenia telefoniczne. Zapraszającego mnie nie było. Pan Ambasador zaprosił mnie na dłuższą rozmowę do Ambasady, ale z tego zaproszenia nie skorzystam.

Ostatniej niedzieli czerwca byłem zaproszony także na coś w rodzaju pikniku, chociaż „to” zwało się ogrodowym robieniem partii (garden party). Otoczeni czterometrowym żywopłotem dwudziestka dorosłych ludzi bawiła się, jadła i piła. Niektóre gry były nawet interesujące. Poprzedniego wieczoru też jadłem kolację w ogrodzie. Jestem szczęśliwy, gdyż nie mając samochodu nie muszę martwić się o znalezienie domu zapraszających, sami podwiozą.

Ciekawostka dla posiadaczy prawa jazdy. Na wielu skrzyżowaniach znaki „stop” są na czterech ulicach. Każdy kierowca musi się zatrzymać i pierwszy rusza ten, który pierwszy stanął. Szybkość maksymalna: 100 km/godz. Mandaty płaci się od 120 km/godz., dlatego na autostradzie mój kierowca ustawił automatycznego kierowcę tak, aby jechać tylko 119 km/godz.

Inną ciekawostką jest faktyczne uznanie ślubu ubóstwa przez państwo i zakonnicy nie płacą podatków korzystając z bezpłatnej opieki zdrowotnej, jak również otrzymując emerytury. Ja na przykład otrzymuję „kieszonkowe”, abym nie musiał prosić o każdą rzecz, ale już dano mi do dyspozycji komputer, którego nie będę mógł zabrać w wypadku przeprowadzki (z wyjątkiem dysku twardego, gdyż przywiozłem go z Polski). Pieniądzy nie liczę, w biurze pracuje sekretarka i ja nawet intencji nie muszę liczyć. W każdym domu oblackim mogę zaglądać do lodówek i spizarek, gdyż wszystko jest dla

każdego księdza, o to dba parafia: ksiądz przejezdny jest gościem parafii. Obecnie ksiądz proboszcz jest na urlopie i przed wyjazdem pokazał mi, gdzie znaleźć pieniądze na jedzenie - notować nie potrzeba.

I na zakończenie dwie ciekawostki. W Irlandii ksiądz w dużym kościele rozpoczyna niedzielą Mszę Świętą znakiem Krzyża: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”. Lud głośno, jak należy: „Amen”! Ksiądz stuka w mikrofon i stwierdza: „Coś jest nie w porządku z radiofonizacją”. „I z Duchem twoim” - zabrzmiało w kościele. „Głos ludu głosem Boga”.

Inny ksiądz, Polak z Kanady, był zmuszony odprawić Mszę Świętą po polsku, ale nie bardzo mu szło nawet czytanie, więc gdy zaraz na początku powiedział: „przepróśmy Pana Boga za nasze rzeczy”, jeden z parafian go poprawia: „grzechy”, ksiądz powtarza: „za nasze dzieci”, parafianin powtarza: „grzechy”... wreszcie za piątym razem ksiądz mówi: „za to, co wy wiecie, a ja powiedzieć nie umiem” - i wszyscy zrozumieli.

Z serdecznym pozdrowieniem
W Chrystusie i Maryi Niepokalanej.